

Teoria ruchów Vorbla

(fragmenty)

Tomasz Białkowski

Mąż Moniki – Benedykt był typowym łacińskim zakonikiem. Ukryty wśród ksiązek „Błogosławiony” prowadził żywot pracowity. W dzieciństwie wymyślił, że będzie obserwował u siebie z uwagą proces starzenia się. Mąż Moniki był też biologiem. Rejestrował, jak katabolizm pokonuje w jego ciele metabolizm. Swoim odchodzeniem profesjonalnie zajął się wcześniej, bo już w wieku trzydziestu lat. Wtedy to lekarze stwierdzili u niego kurczenie się nerek. Warto nadmienić – stan naturalny dla każdego człowieka w tym wieku. Przyjął to ze zrozumieniem, ale nie bez lęku. Odkryciem podzielił się z żoną. Robił tak zawsze, gdy dostrzegł jakąś skazę na ciele bądź poczuł ją we wnętrzu. Biegł do niej z byle skaleczeniem, drzazgą w palcu, stanem podgorączkowym. Monika wysłuchiwała jego żalów z coraz mniejszym zrozumieniem. Opuściła go w dniu, kiedy w księgarni zakupił gruby notes i rozpoczął obserwację. Napisał:

„Oto dzisiaj, w trzydzieste urodziny, rozpoczął się w moim organizmie proces odchodzenia z tego świata. Trudno powiedzieć, ile czasu on zajmie. Gdybym żył w dziewiętnastowiecznej Ameryce, mógłbym z dużą dokładnością powiedzieć, że zostało mi dwadzieścia lat życia. W swych badaniach odrzucam wariant samobójczy, nieszczęśliwy wypadek, głód, otrucie, atak drapieżnika, katastrofę klimatyczną, kosmiczną, wojnę i nowotwór. Przy tym założeniu moje umieranie potrwa jakieś pięćdziesiąt lat. Łapię się na tym, że neguję fakt umierania. Zaprzeczam temu, buntuję się i złorzeczę. Czuję gniew. To absolutny dowód na to, że zacząłem umierać. Mój gniew jest uzasadniony psychologicznie. Rozpoczął się u mnie proces psychicznego umierania. Ale zanim stracę oddech, tętno, a moja skóra wpierw wyziębii się, pojawią się na niej plamy opadowe, a potem nieuchronnie zacznę gnić, sprawdę, co będzie po drodze. Boję się, że mój zapis z czasem stanie się chaotyczny za sprawą płatów czołowych, które zaczną się kurczyć. Pojawią się problemy z kon-

centracją, a skupienie się na dwu rzeczach równocześnie będzie coraz trudniejsze. Coraz wolniej będę reagował, a moje ruchy staną się niezdarne. Trudno powiedzieć, jaką postawę przyjmę wobec otaczającego mnie świata. Czy pogodzę się ze śmiercią i będę świadom wad i ograniczeń. Czy może resztę życia będę wspominał lata, kiedy byłem przystojny, energiczny i interesujący. Zajmę się krytyką wszystkiego i wszystkich, ucieknę w samotność i smutek. Tego jeszcze nie wiem. Zastanawiam się nad spowolnieniem procesu mojego starzenia się. Czy będzie mi się chciało wychodzić na spacer, przez co uniknę otyłości, za którą stoją: miażdżycy, cukrzyca, choroby krążenia, zwyrodnienia w układzie kostnym. Zrezygnuję z tłuszczów zwierzęcych i cukru na rzecz owoców i warzyw. Odrzucę wódkę, tytoń i leki, które prowadzą do chorób nowotworowych, zwiększają ciśnienie w krwi, zwężają naczynia krwionośne, powodują niewydolność płuc oraz zaburzenia w funkcjonowaniu serca, nerek, sprawiają, że człowiek ma stany depresyjne. Tego wszystkiego jeszcze nie wiem. Pomyślę nad tym”.

Vorbl znalazł zapiski teścia na dnie szuflady. Otworzył na chybił trafił. Kolejny zapis był następujący:

„Komórki w moim ciele umierają w zastraszającym tempie. Nie lepiej jest z tkankami i całym narządami. To wszystko przez uszkodzenia w DNA i białkach. W swych obserwacjach przyjąłem teorię stochastyczną i tego postanowiłem się trzymać. Mój organizm się rozpada. Na początku eksperymentu nie mogłem się zdecydować, jaki system działania mam przyjąć. Nie wiem tego w dalszym ciągu. Staram się funkcjonować normalnie. Jadam trzy posiłki dziennie, na uczelnię odbywam spacer, nigdy nie paliłem, więc nie mam problemu z rzuceniem. Czasem piję w towarzystwie. Od kiedy żona się wyprowadziła do kochanka, raz w miesiącu chodzę do centrum na niekrępujące spotkania, dwieście złotych plus napiwki. Po południu czytam i prowadzę działalność naukową. Piszę książkę, prowadzę seminaria. Nie oglądam telewizji, z prasy czytam tylko specjalistyczną. Kładę się spać około północy. Można z dużą dozą prawdopodobieństwa przyjąć, że zdecydowałem się na wariant mieszany. Cały czas obserwuję siebie, robię niewielkie notatki na karteluzkach, a do notesu wpisuję tylko poważniejsze uwagi. Ten sposób prowadzenia badań sprawdza się w moim życiu zawodowym, nie ma podstaw, by w przypadku eksperymentu postępować inaczej. Teraz konkrety. Stwierdzam pogorszenie pamięci krótkotrwałej. Przedmioty w domu znikają ze swoich miejsc, pojawiają się w zupełnie dotychczas nieprawdopodobnych. To denerwujące. Dzisiaj jak co dzień stałem pod prysznicem, zaobserwowałem, że moja skóra robi się sucha. To wynik utraty zdolności zatrzymywania i wiązania wody w naskórku, elastyczności w skórze, pojawiły się pierwsze zmarszczki mimiczne wokół ust i oczu. Naskórek uległ zmianie, stał się dużo cieńszy i bardziej szorstki. Na rękach pojawiły się plamy w brązowym kolorze. To skutek różnorodnego wydzielania melaniny. Chudnę. Następuje u mnie utrata tłuszczowej tkanki w podskórnej warstwie. Moja skóra jest bardziej pomarszczona i obwisła. Łysieję. Czuję coraz większy gniew. A potem wyszedłem boso do salonu. Bardzo zmarzły mi dłonie +

i stopy, chociaż dom jest dobrze ogrzewany. Pojawiły się u mnie problemy z ukrwieniem, widzę różnice w układzie naczyniowo-sercowym. Tętnice robią się węższe, zmniejszeniu ulega w nich światło i są przez to dużo sztywniejsze. Skóra ma pierwsze przebarwienia. Mogę spodziewać się wkrótce zmian miażdżycowych. Zmiany te mogą doprowadzić do śmierci, na przykład z powodu zawału serca, dusznicy bolesnej czy udaru mózgu. Wcześniej zobaczę zmiany w żyłach, które z czasem ulegną rozszerzeniu i zwiotczeniu. Może będę miał hemoroidy i żylaki”.

Vorbl usiadł zaciekawiony i czytał dalej:

„Coraz gorzej widzę. Czytanie gazet sprawia mi trudności. Okulista stwierdził u mnie krótkowzroczność. Dobrze za to widzę włosy w uszach i nosie. Jest ich całe zatrzęsienie. Ze słuchem też nie jest lepiej, kanał słuchowy blokuje woskownina. W dalszym ciągu chudnę. To spadek ilości wody w organizmie. Następują dalsze ubytki w masie kostnej i mięśniowej. Dostrzegam zmiany zwyrodnieniowe kręgosłupa, kurczę się. Jestem coraz niższy. Pojawiła się osteoporoza, a wraz z nią garb. Bolą mnie stawy, mięśnie, muszę uważać, aby nie złamać coraz słabszych kości. Dostrzegam zmiany zachodzące w układzie odpornościowym. Zwiększyła się produkcja przeciwciał nakierowanych przeciwko białkom własnego pochodzenia, nasila się ryzyko zapalenia stawów i chorób degeneracyjnych. Mam problemy ze snem. Jego czas i fazy uległy zaburzeniu. Budzę się ośliniony. Zębów już nie mam dawno. Za dnia zakładam sztuczne. Nastąpiły zmiany w układzie hormonalnym, zmniejszył się poziom hormonów tarczycy. Jelita mam coraz cieńsze, mniej elastyczne, a przez to pojawiły się bolesne zaparcia. Występują zmniejszone wydzielania gruczołów żołądkowych i ślinowych, mam niedokwaśność, która jest powodowana obniżeniem wydzielanego kwasu solnego. Mój mózg cały czas się kurczy. Obserwuję zmiany w hipokampie, narządzie odpowiedzialnym za powstawanie oraz przywoływanie wspomnień. Coraz więcej za to myślę o Monice. Dlaczego zostawiła mnie dla tego lalusia? Zmniejszyła się liczba komunikacji między komórkami nerwowymi. Nastąpiło starzenie się komórek glejowych, obniżyła się sprawność receptorów, wydłużeniu uległ czas reakcji i zmniejszyła się szybkość dowolnych ruchów. Czekam na zaburzenia psychiczne, na depresję, zaburzenia świadomości, Alzheimera i otępienie”.

Ostatni zapis Benedykta był mocno nieczytelny, zamazany, a kartka pomięta, jakby nadgryziona. Vorbl z niemałym trudem rozszyfrował:

„Dzisiaj rozmawiałem z Bogiem. Powiedziałem Mu, że nie rozumiem zmian w otaczającym mnie świecie. Mieszkam z jakimś obcym człowiekiem i kobietą, która każe mi do siebie mówić – Córku. Do mnie mówi czasem – Tato. Ta kobieta zamyka mnie w niewielkim pokoiku z jednym okratowanym oknem. Podobno za tym oknem widzę drzewa. To nieprawda, ja już prawie nic nie widzę. To początek katarakty. Komórki opuszczają moje ciało tak szybko, że niewiele ich już zostało. Młoda kobieta karmi mnie każdego dnia zupą. Gdybym mógł czuć jej smak! Gdybym mógł wyjść z tego pokoju!”

Przed śmiercią Vorbl wyniósł na rękach lekkiego jak jesienny liść teścia do ogrodu. Pod koniec życia starszek uroił sobie, że w ziemi ukryte są listy do żony od rzekomego kochanka, przez którego go zostawiła. Stary profesor trzęsącymi się dłońmi wskazał miejsce ukrycia listów. Vorbl kopał doły, a Benedykt trząsał małutką głową. Zajęty od pięćdziesięciu lat umieraniem zapomniał o życiu. Stracił żonę, brnąc w bezwartościowe zapiski. Zmarł, zaglądając do kolejnej dziury, z której dna ciągnął chłód przerażającej samotności.

• • •

Monika od wielu lat żyła z mężem – Benedyktem w separacji. By go przypadkiem nie widywać w dwumilionowym mieście wyjechała na Wybrzeże, konkretnie – do Kołobrzegu, gdzie przez cały rok zjeżdżały się tysiące astmatyków, cukrzyków, nadciśnieniowców, ludzi niepełnosprawnych, z reumatyzmem, łuszczycą, zapaleniem gardła, zatok, stawów, płuc, oskrzeli, pylicą, udarem mózgu, rwą kulszową, urazami kości, mózgu, kręgosłupa, korzonkami i lumbago. Monika całe zawodowe życie zajmowała się hydroterapią. Bez problemu znalazła pracę w jednym z licznych sanatoriów. Kołobrzeg to blisko pięćdziesięcioletni kurort z unikalnym mikroklimatem i zapomnianym już festiwałem piosenki wojskowej. Monika zatrudniła się w będącym własnością Ministerstwa Spraw Wewnętrznych sanatorium „San”. Każdego ranka opuszczała wygodne mieszkanie przy ulicy Dubois, wsiadała na rower i wolno jechała na Portową, do dziewięciopiętrowego budynku, w którym wykonywała zabiegi. Po drodze mijała średniowieczną Basztę Prochową, z Katedralnej skręcała w Rzeczną, jechała wzdłuż leniwie płynącej Parsęty, mijała dwa bulwary i już była na miejscu. Zeskakiwała zgrabnie z roweru i miękko, po schodach, wbiegała do swojego gabinetu. Zakładała biały fartuch, siadała na wygodnym fotelu. Piła zieloną herbatę, patrząc za okno na Bałtyk. Potem, z uśmiechem na zadbanej twarzy, długimi korytarzami biegła do kolejnej grupy kuracjuszy. Cały dzień moczyła ich w siarce, solankach, kąpała perełkowo, wirowo, relaksująco, rozgrzewająco, stosowała masaż podwodny, bicze szkockie i różne inne zabiegi, po których była skrajnie wyczerpana. Wracała do domu pieszo, prowadząc rower. Regenerowała się godzinnym snem, po czym wychodziła nad morze na długi, samotny spacer. W dni wolne robiła rowerowe wycieczki po przymorskich dolinach. Objeżdżała torfowiska, wydmy pokryte roślinnością piaskową, swoją skrzypiącą damką zapuszczała się w lasy bukowe, olszyny i nasączone wilgocią sosnowe bory. Jak każda grecka Monika, tak i ona, była samotniczką. „Monos” wszak oznacza jedynekę. Z tego też powodu nie utrzymywała kontaktów z rodziną. Kiedy mieszkała w Warszawie, córka nie okazywała jej najmniejszego zainteresowania. O ślubie z Vorblem powiadomiła ją miesiąc po uroczystości. Trzeba dodać, że na ślub kościelny nalegał Vorbl. Pomimo życia w świecie wzorów i liczb nakazujących mu ateistyczną wizję świata, wiara w Siłę Nadprzyrodzoną siedziała w nim gdzieś głęboko, nabył ją w dzieciństwie. Agnieszka przez telefon tłumaczyła się mętnie, że ich +

ślub to była nic nie znacząca ceremonia, bez gości weselnych, przy rozstrojonych organach, za którymi siedział pijany organista. Monika nie widziała powodu, by proces zobojętnienia nie działał w drugą stronę. Tym bardziej że córka wzięła ślub w kościele. Monika uwielbiała takie wzruszające uroczystości i nie darowała jej tego nigdy. Podobnie było z narodzinami wnuka. Któregoś dnia listonosz podał jej na ulicy cienki list ze zdjęciem sporych rozmiarów postaci. „To twój wnuk, Rajmund” – głosił podpis pod fotografią przedstawiającą kilkunastoletniego byczka z trądzikiem. Ta niewielka kartka przesłoniła całkowicie i tak wątlą karykaturę rodziny. Do tego to paskudne imię – Rajmund! Jak można tak skrzywdzić dziecko?! Monika po rozstaniu z mężem nie związała się już nigdy z żadnym mężczyzną. Czasem, gdy któryś z kuracjuszy wzbudzał jej żywsze zainteresowanie, zapraszała go na wycieczkę rowerową. Znała kilka uroczych zakątków. Znajomość zawsze w sposób naturalny kończyła się wraz z przyjazdem nowego turnusu. Wiadomość o śmierci męża przyjęła ze spokojem i obojętnością. Akurat zrobiła sobie wycieczkę do Poddąbia – urokliwej wioski z malowniczymi klifami i bukowo-sosnowymi lasami. Wracała do mieszkania naładowana jodem, pachnąca piaskiem i trawą. Na pogrzeb pojechała ubrana w przepisową czerń. Monika ten jeden jedyny raz zachowała się stereotypowo. Tę chwilę słabości wyrzucała sobie potem wielokrotnie. Żle się czuła w czarnym, ten kolor ją postarzał i wprowadzał w stan nieuzasadnionego smutku. Tak więc z ponurą twarzą zakrytą czarną woalką obserwowała trumnę ze zwłokami małżonka wędrującą w czerń ponurego sześcianu. Zamówiła wieniec z białą szarfą, na której kazała wypisać słowa: „Katabolizm pokonał metabolizm”. Potem pod rękę z córką potruchnęły do domu. Monika oglądała kiedyś znajome ściany, teraz przemalowane na jakieś wulgarnie, doprowadzające do zawrotów głowy kolory. Czarne jak jej strój meble. Agnieszka posadziła ją na jednym z takich hebanowych krzesel, obok usiadł wysoki mężczyzna, który przedstawił się jako mąż córki. Przyjęła to nawet z zainteresowaniem. Zięć był przystojny, szarmancki i autentycznie uprzejmy. Monika pozwoliła mu opowiedzieć o ostatnich chwilach życia Benedykta, kiwała ze zrozumieniem głową. Raz nawet uśmiechnęła się do niego. Siedzieli tak przy stole we trójkę, Rajmund nie dotarł z Francji. Chyba nawet w ogólnym zamieszaniu zapomnieli zadzwonić do niego. A może zadzwonili, a on napisał im SMS-a, w którym tłumaczył się w jakiś pokrętny sposób? Nikt już tego nie pamiętał. Mijały minuta za minutą, odmierzane tykaniem ściennego zegara. Podniosły nastrój nagle wywiało do zalanego deszczem ogrodu. Stało się to w chwili, kiedy Vorbl, zapytany o profesję, nie bez dumy wyznał, że jest dobrze rokującym naukowcem z uniwersytecką posadą. Monika odruchowo spojrzała na córkę, zrobiło jej się żal idiotki nawijającej teraz na palec kosmyk jasnych włosów. Co prawda, była sama sobie winna, związując się z tym człowiekiem, ale i Monika przyłożyła do tego rękę. Zostawiła jedyne dziecko z nieodpowiedzialnym ojcem. Jakie znowuż dziecko!? Zreflektowała się po chwili, Monika wyjechała nad Bałtyk, kiedy córka zaczynała studia! Elegancka wdówka dokończyła w milczeniu niezbyt smaczny, a do tego wysokokaloryczny obiad i żeby nie tracić czasu na kurtuazyjne wstępy, rzuciła krótko:

- Ile pan ma lat?
 – Ja?
 – No przecież, że nie o mnie chodzi! Tak, pan.
 – Urodziłem się w sześćdziesiątym...
 – Niby naukowiec, a nie potrafi operować konkretem.
 – Mama pozwoli się zastanowić...
 – Nie przypominam sobie, abym była pana matką. Może Benedykt był zamieszany w pana poczęcie, ale ja?
 Tu rozpaczliwie zainteresowała córka:
 – Mamo, nie zaczynaj! To ojca pogrzeb!
 – Ja doskonale wiem, czyj to pogrzeb – Monika w świadomie przerysowany sposób odłożyła sztucze i podniosła się od stołu. – Przejechałam pół Polski, to chyba wiem, na czyj pogrzeb jechałam!
 – Czterdzieści pięć – wydukał Vorbl.
 – Nie czterdzieści pięć, a kilkaset! Naukowiec, a nie wie, ile kilometrów jest z Kołobrzegu do Warszawy!
 – Ale ja... Nie o tym mamie chciałem... Ja mam czterdzieści pięć lat – Vorbl czuł, jak krew opuszcza jego twarz.
 – Co pan z tą mamą!?! – Monika była już przy drzwiach. Zakładała ekologiczne futro, w czym pomagała jej zapłakana córka. Dzieła zniszczenia dopełnił cuchnący błotem i wiatrem Kuba. Olbrzymi pies stanął na tylnych łapach, a przednimi oparł się o plecy teściowej Vorbla. Monika wyrzuciła z gardła przeraźliwy okrzyk, którym wystraszyła psa, a jeszcze bardziej zięcia.
 – Coś ty narobił, bydlaku – z pomocą matce przysłała córka.

Gwoli ścisłości, wspomnianym bydlakiem był Vorbl, bo pies od kilku sekund siedział skulony pod stołem. Seweryn schował twarz w dłoniach, jak przez gipsową ścianę docierały do niego kolejne wyzwiska i wybuchy płaczu. Kiedy wreszcie uniósł głowę, salon był pusty, panowała w nim cudowna cisza.

- Monika, pomimo próśb i protestów córki, zamówiła taksówkę i kazała zawieźć się na dworzec centralny. W oczekiwaniu na nocny pociąg do Kołobrzegu wysłuchiwała tłumaczeń Agnieszki. Już na stopniach wagonu powiedziała:
 – Nie tak to sobie wyobrażałam. Mam córkę, której nie mam. Mam wnuka, którego nie widziałam. Mam zięcia, który ciebie zniszczy.
 – Mamo, to co ja mam teraz robić?
 – Nie wiem, nigdy nie wiedziałam. Dlatego od was uciekłam.

Monika nad ranem dotarła do Kołobrzegu, otworzyła drzwi do mieszkania na ulicy Dubois. Wzięła kąpiel i usiadła na fotelu z filiżanką herbaty. Nastawiła jedną z wielu płyt Muzy i siedziała tak zasłuchana w głos Adama Zwierza, który śpiewał o „wierzbach, które nie płaczą”. Obudziła się wypoczęta i szczęśliwa. ○